


Warszawa, dnia 16 (28) Maja 1870 roku.

№ 21. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.



## ŚWIATŁO CYWILIZACJI.

Wyżéj, jeszcze wyżéj! Jeszcze krok jeden po téj górze, a zapanujemy nad dolinami Italji uroczéj! Towarzyszu, ożyw się, niech cię nie nęci ten bogaty gaj pomarańczowy, odpoczniemy wtenczas, kiedy się już nasycimy widokiem natury, która zdołała zniewieścić i zatopić w pieszczotach groźnego Hannibala. Ha, jesteśmy! Niebo bezchmurne, gorejące czystym ogniem słońca; powietrze napojone wonią traw i kwiatów górskich! Pod stopą twoją marmury, przed oczami krajobraz, jaki czart chyba przedstawiał Chrystusowi, kiedy go kusił królestwem ziemi. Obracasz się w koło i zdumiony myślisz o szczęściu, w którém żyć muszą mieszkańcy tych gór, tych obszarów, napełnionych bogactwem. Przejęty wielkością widoku, doznajesz wzruszenia, które cię pochyla do modlitwy...



**Losowanie do wojska.**
(Rysunek Artura Grotgera, patrzeć życiorys w Nr. 14-ym z r. b. Opiekuna Domowego umieszczony).

Uczucia słodyczy, miłości ku ludziom, jakby przypinały ci skrzydła. Chciałbyś być poetą, chciałbyś zabrzmieć wspaniałą nutą harmonji...

Czemuż drgnąłeś nagle spłoszony? Jakiś strzał niespodziany wyrywa cię z niebieskiéj zadumy... Może to strzał myśliwca?.. I znowu huk broni — słychać jęki i krzyki...Cóż to! Na szmaragdowym kobiercu murawy, u brzegu tego cytrynowego gaju, roi się jakiś tłum okropny, krzyczący, strzelający... To leje się krew podróżników — to zbójcy!..

I modlitwa twoja ku Stwórcy, zmienia się w dreszcz okropności. Majestat natury znika z przed oczu, czerwona krew dymi ku turkusowym niebiosom. Opuszczasz te miejsca, zmienione przez człowieka w ohydną jaskinię zbójców...Podróż twoja dalsza jest ciągłą obawą; trzymasz rękę na cynglu broni, bo każdy załom, krzew mirtowy, może ukrywać twarz zbójecką... Nie masz już czasu spojrzeć naokoło siebie i cieszyć się pięknością natury, wielkością Boga...

Dzikość i ciemnota rozciąga ponad tym uroczym krajem fatalne sieci. A zdawałoby się, że ludzie powinniby tu być aniołami, że powinny się tu krzewić obfitość i szczęście. Tymczasem urodzajne niwy leżą odłogiem; fabryk ani rzemiosł nie widać, półnadzy wieśniacy, albo polują jak sępy na podróżników, albo pędzą dni lenistwa i zezwierzęcenia. Piękność natury, która tu człowieka otacza, niczem do niego nie przemawia dzisiaj, bo jego dusza nie ma żadnego pokarmu umysłowego. Nikt tu prawie czytać i pisać nie umie, nikt nie wzdycha do lepszego bytu, nikt z miejscowych nie pomyśli o pozbyciu się tych band zbójeckich. Zabobony i przesądy mnożą się tu jak trujące grzyby...

Spojrzyjmy teraz na inne kraje; śpieszmy oto za tym podróżnikiem, który dąży brzegiem morza po zaspach śniegu, pod pochmurném niebem Szwecji. Samotność zdaje się jeszcze przykrzejszą przy silnym powiewie północnego wichru. Rzadko gdzie sterczą ze śniegu ściany skromnego domostwa. Przez trzy czwarte części roku nie widać tu nic prócz zimowych lodów i martwości mroźnéj. Tu samo niebo, sam ogrom tych chmurnych przestrzeni cię przeraża. Spieszysz do ludzi, szukasz ich, uciekasz z objęć natury w objęcia braterskie. Spostrzegasz wreszcie tę wioskę, przytuloną do gromady skał nagich, pokrytych śniegiem. Już noc zapada... Czujesz, że gdybyś tu nie znalazł noclegu, musiałbyś zginąć w tych posępnych obszarach jak nędzna plewka, pomiatana wichrem. Stajesz we drzwiach pierwszego domostwa i znajdujesz się odrazu, jakby we własnéj rodzinie. Widzisz, że ojciec, gospodarz téj chaty, współczuje ci w przykrościach, jakie przenieść musiałeś w podróży, więc poleca żonie przygotować ciepłe jadło i prowadzi wędrowca przed komin, w którym goreje wielkie ognisko. Rozglądasz się w izbie: porządek i czystość; na ścianach obrazki, portrety, w kącie szafka z książkami i gazetami. Ze wszystkiego widać, że nie ma tu obfitości, ale nie ma i nędzy. Dzieci czysto poubierane, uczą się lub pracują przy matce. Izba dobrze opatrzona przeciwko mrozom; szyby duże i jasne. Nie brak tu chleba, jest i mleko, znajdzie się i mięso pożywne. A tymczasem, jest to okolica, która nie wydaje już zboża. Chleb dostają tu zdaleka. Ale ta chata rybacka, stojąca z kilku innemi, tworzy pracowitą osadę przemysłową. Nie zawsze tu taka cisza, mróz i samotność. W krótkich chwilach lata, zjawiają się tu parowce angielskie i niemieckie. Robota kipi; dostawiają do tych parowców ogromne sztuki budulcu, albo rybę rzadszego gatunku. Przytem do osady téj dotyka trakt wielki, łączący się późniéj z żelazną koleją. Tym sposobem, garstka mieszkańców rzucona w puszczę na brzeg morza, znajduje swoje utrzymanie i przyszłość w pracy, z któréj korzysta para na lądzie i na morzu. I za pomocą téj samej pary otrzymują tu wszystko, co im do życia potrzeba. Koleje żelazne dostawiają co jest najlepszego w kraju, a parowce przywożą płody obcego przemysłu. Za pomocą téj samej pary, w pustyniach Ameryki powstają miasta całe; człowiek łączy się z człowiekiem; jeden drugiemu staje się potrzebnym; rośnie dobry byt, który dozwala ojcom łożyć na uczenie i dobre wychowanie dzieci. Przez parę, fabryki i rzemiosła, przez handel i przemysł wyradzają się wspólne potrzeby, udzielają się wiadomości, mnożą się gazety; człowiek oświeca się i poznaje jasno, co traci, a co zyskuje, z czem mu jest lepiéj, a z czem gorzéj; ściga rozbójników i bandytów; oświecając się patrzy z góry na przesądy i zabobony, staje się lepszym, zakłada instytucje dobroczynne, szkoły, szuka zabaw szlachetnych. Czasem jeden wynalazek tworzy nową gałąź przemysłu, która żywi miljony robotników...

Tym to sposobem i biedna osada rybacka, która w czasach mało rozwiniętego przemysłu istniećby może nie mogła, dzisiaj w puszczy korzysta ze wszystkich darów cywilizowanego świata.

Z jakiemż więc politowaniem patrzeć należy na tych zapleśniałych ślepców, którzy w tym rozwoju przemysłu widzą zgubę ludzi, a wiek postępu nazywają pogardliwie lecz z pewnym strachem, *wiekiem pary i telegrafów*. Panowie! zapominacie, że i dawniéj byli żebracy, biedni, chociaż ludzi było mniéj daleko, zapominacie, że i dawniéj bieda doskwierała ludziom.

Para nie przeszkadza wam modlić się i czytać moralne powieści, ale czytając je nie zapominajcie, że ta świeca, przy któréj siedzicie, wasze ubranie, w którem wam tak ciepło i owa maszyna do szycia, która waszéj siostrze daje utrzymanie, chroniące ją od zepsucia, że większa część przedmiotów, którémi się posługujecie, wytworzyła się pod potęgą pary. Za pomocą pary, panowie, możecie posyłać wiśnie warszawskie na północ i dostawać pomarańcze rwane przed trzema dniami we Włoszech. Za pomocą pary i telegrafu rozniosło się po Europie oburzenie z powodu zamordowania biednych podróżników w Grecji, to jest w kraju, posiadającym zapewne wiele wspomnień i więcéj jeszcze pięknego nieba, ale ani trochę parowych ulepszeń. Za pomocą pary świat staje się jakby jedną rodziną, związaną wspólnym interesem. I ta para posłuży może kiedyś do ściślejszego jeszcze połączenia wszystkich ludów, do wyplenienia nienawiści plemiennych. Minął czas sielanek. Na świecie coraz więcéj ludzi, coraz więcéj potrzeb. Człowiek musi myśleć, pracować i uczyć się, w tem jedynie jego zbawienie. Po cóż więc narzekać, że człowiek stał się doświadczeńszym i rozumniejszym? Jeżeli się tak boicie pary i telegrafów, to idźcie w krainę Abruzzów lub na klassyczne pola Maratonu i pomieszkajcie tam czas jakiś, wy wszyscy, którzy, nawet jedząc chleb parowy, wymyślacie i długie piszecie wiersze na nędzę społeczną z powodu pary. Tam, w owych miejscach, znajdziecie wszystko w pierwotnym stanie patryarchalności, która zaiste pięknie wygląda! Praca, ruch, działalność poczciwa, oto dziś modlitwy, oto najlepsze ku Bogu westchnienia. Ludzie się mnożą, bieda się mnoży... Daléj więc w ruch machiny, telegrafy; niech świszczą lokomotywy i prują wody parowce, aby ludzie byli lepsi i aby ludziom było lepiéj! Umoralnienie w naturze nie mieszka. Najwyższa moralność, to najwyższa cywilizacja. Wolę robotnika pędzącego z kominem lokomotywy, niż bigota, zatopionego w jałowych dumaniach wśród bogatéj natury.

*Józef z Mazowsza.*

---

**DO JASKÓŁKI.**

Jaskóleczko szafirowa
Czemuś tak żałosna?
Choć piosenka twa zimowa,
Lecz w serduszku wiosna!

Zawsze wiosna, zawsze lato,
Zima ci nie znana;
Wiotkie masz skrzydełka na to,
Ptaszyno kochana.
Żebyś smutnéj, martwéj zimy
Nigdy nie zaznała,
Lecz w słoneczny kraj rodzimy
W dni przykre latała,
I — posłanko dla nas miła —
Z każdą nową wiosną,
Na skrzydełkach nam nosiła
Życia wieść radosną.
W górę sokół, orzeł wyżéj
W słońce patrząc lata,
Lecz od ciebie żaden chyżéj —
Chyba ptak fregata.
Więc nie pragnij jaskółeczko
Być orłem, sokołem,
Ale nizko krąż w kółeczko
Nad rodzinnem siołem.
I zaglądaj w okna chatek
I odwiecznych gmachów,
I kleć gniazdko dla swych dziatek,
W pośród naszych dachów.
Muszek sobie i motyli
Na uczty nie żałuj,
A kiedy się lot twój schyli,
Ziemię skrzydłem całuj.
W wód rodzinnych cichej fali
Rzeźwij pierś zemdloną,
Kiedy letnie słońce pali
Wiosny narzeczoną.
A jeżeli w dni burzliwe
Przyjdzie na cię trwoga,
Znajdziesz serce litościwe,
Jaskółko nieboga,
Co cię schroni i ogrzeje,
Do łona przyciśnie
I na pokarm da nadzieje,
Że słonko zabłyśnie!
Błyśnie słońce jaskółeczko,
Nie bądź tak żałośna,
Krąż nad nami, krąż w kółeczko
Wróci luba wiosna.

*H. Feldmanowski.*

# KAROL DARWIN

## I JEGO TEORJA.

Darwin Karol Robert, urodził się 12 Lutego 1809 roku w Shrewsbury,—w temże mieście ukończył szkoły; następnie w roku 1825 przeszedł na Uniwersytet do Edynburga, w Cambridge zaś w roku 1831 otrzymał stopień naukowy. Odtąd zaczynają się jego prace w dziedzinie nauk przyrodzonych. Towarzysząc w podróży morskiéj kapitanowi Fitzroy, która trwała od roku 1832 do 1836, jako badacz natury, zdołał rozwiązać wiele kwestji, dotąd na niepewnych opierających się teorjach, jako to: rozpoznał i gruntownie zbadał życie polipów koralowych i prace ich w budowie raf podmorskich i wybrzeży morskich, podał swoje mniemania dotyczące podnoszenia się i obniżania lądów, zastanawiał się nad działaniem sił sprawiających trzęsienia ziemi i t. d., do czego posłużyły mu obserwacje czynione na wyspach Oceanu Spokojnego i na brzegach Ameryki Zachodniéj. Po powrocie do kraju, pierwszą jego pracą która ukazała się na widok publiczny, było: Upładnianie gruppy roślin Storczykowatych (Orhideo). Po broszurze: Podróż naturalisty, napisał: O opylaniu konopi, O roślinach pnących się; dzieła bardzo ważne dla fizjologii roślinnéj.

W czasie wspomnianéj podróży, zauważył Darwin niepewność i wadliwość w opisach rozmaitych gatunków zwierząt i roślin; dalsze badania w tym przedmiocie doprowadziły go do pewniejszych rezultatów, które ogłosił w znakomitem i obszernem swem dziele: o początku gatunków albo o prawach postępowych istot organicznych (On the origin of species) i służącem mu za dopełnienie: O zmianach zwierząt i roślin pod wpływem hodowli (The variation of animals and plants under domestication); dzieła te przetłómaczone zostały na inne języki, pierwsze z nich na francuzkie przełożyła Klemencja Augusta Royer, pod napisem: De l'origine des espèces ou de lois du progrés chez les étres organisés, Paris, 1862; z dodatkiem uczonéj przedmowy i not objaśniających; dzieło to zamyka słynną teorję znaną powszechnie pod nazwą teorji Darwina.

Nowy sposób zapatrywania się, rozwinięty w téj teorji, na warunki istnienia organizmów, królestwa roślinnego i zwierzęcego, dążący do wykrycia nieznanych dotąd a głównych praw natury, zwrócił na siebie uwagę powszechną; ostry i ścisły sąd krytyki nie wyrzekł dotąd w téj ważnéj kwestji ostatecznego swego zdania

Prawie wszystkie pisma perjodyczne Warszawskie w roku przeszłym, starały się dać nam poznać w ogólnych zarysach teorję Darwina, objawiając przytem różnorodne zdania, w których autora raz wynoszono pod niebiosa, jako jednego z najpierwszych genjuszów naszego wieku, rzucającego potężne światło w ciemne pracownie natury, to znowu zasypywano gradem mniemań przeciwnych, dopatrujących w nowéj doktrynie pojęcia, czyniące ujmę godności człowieka, podkopujące zasady religji, moralności i bytu społecznego. Pomimo to wszystko, przedmiot tak ważny pozostawia i nam jeszcze cośkolwiek do powiedzenia; przedewszystkiem musimy tu sobie przypomnieć ogólny szkic téj teorji.

Polega on na trzech głównych zasadach a mianowicie: pierwszą z nich jest Wybór naturalny, drugą Walka o byt, trzecią Dziedziczność. Wiadomo jest powszechnie, że dla polepszenia rass w sztucznéj hodowli zwierząt domowych wybiera się najlepsze okazy, przymioty ich przechodzą prawem dziedziczności na ich następców, tak że po pewnym przeciągu czasu powstaje ztąd nowe pokolenie, prawie zupełnie różne co do budowy i przymiotów od pierwotnego gatunku. To co sztuką osięga człowiek, dopełnia również natura, posługując się prawem zwanem przez Darwina walką o byt; na mocy którego istoty słabsze w ciągłych zapasach z przeciwnościami, stopniowo nikną, najsilniejsze zaś i najlepiéj uposażone od natury, przymioty swoje przekazują następcom; tym sposobem przyroda pracuje ciągle nad rozwojem i wykształceniem swych tworów. Teorję tę rozwinął autor z godną uwielbienia ścisłością, gromadząc mnóstwo przykładów i doświadczeń, dla zebrania których poświęcał kilkanaście lat mozolnéj i wytrwałéj pracy.

Prawdy wykryte przez Darwina, dowiedzione i sprawdzone ze zdumiewającą precyzją, przyjęte

zostały przez wielu jako naukowy pewnik. Zdawałoby się, że dzieło poświęcone przyrodoznawstwu, powinnoby służyć jedynie za podstawę dalszych badań, z których nauki ścisłe właściwą drogą prawdziwe odnieść powinny korzyści; nie ma wątpliwości że cel ten osiągniętym zostanie i przyniesie w zastósowaniu swoim praktyczne zyski; dla gospodarstwa rolnego i leśnego, ogrodnictwa, hodowli zwierząt i t. d. Nie dosyć wszakże na tem, nauki przyrodzone w dzisiejszych czasach, w dziedzinie wiedzy ludzkiéj dążą do zajęcia najpierwszego stanowiska; w istocie, kolosalny ich rozwój, zdumiewające odkrycia i wynalazki, nietylko że budzą w nas zasłużony dla nich podziw i uwielbienie, lecz wywołują uczucie wdzięczności, przez wzgląd na nieprzeliczone korzyści, jakie cała ludzkość dla swego dobra z nich czerpie i osiąga. Z tego zapewne punktu widzenia zapatrując się, nowa niemiecka filozofji szkoła, pod przewodnictwem znanego z prac swoich Moleschotta, postanowiła usunąć na stronę z zakresu naukowego wszystko to, co z wyśledzonych drogą doświadczenia praw natury wysnuć się nie da. Najżarliwsi téj szkoły zwolennicy, Büchner i Vogt, w dziele angielskiego naturalisty, silne dla swych mniemań znaleźli poparcie.

Działanie przypadkowych okoliczności, których wpływ w wielu wypadkach dostrzedz się daje, drogą rozumowania rozwinięte i prowadzone do ostatecznych granic, w ich pojęciach pozbawia całą naturę, z góry nakreślonego planu i ostatecznych celów w harmonijnych jéj objawach. Zuchwała ta myśl wywołała słuszne oburzenie, powstał przeciwko niéj poważny głos gruntownéj i głębokiéj krytyki, wywiązała się naukowa walka, w któréj zwolennicy nowéj szkoły wskazali na teorję przekształceń Darwina, gdzie wpływy trafunkowe również wysoką odgrywają rolę; tym sposobem Darwinizm połączył się z materjalizmem nowoczesnym.

Pomimo wysokiego stanowiska jakie nauki przyrodzone w dzisiejszych czasach zajęły, w rozwoju ich musi być koniecznie pewna granica, po za którą przejść zapewne nigdy nie zdołają; gdzie jest ten kres ich postępu, zapewne dopatrzeć się nie da, lecz że istnieć musi, na to wśród wielu innych za dowód służyć nam może cytowana materjalistyczna filozofija. Ktokolwiek z uwagą i zastanowieniem rozgląda się w dziełach Moleschotta i Büchnera, dostrzega w nich głęboką znajomość nauk za podstawę im służących, jakiemi są: fizjologja, chemja, fizyka i t. d.; lecz wszędzie, gdzie kończą się jasno dowiedzione przez nie prawdy, a rozpoczyna się przejście do krainy myśli i ducha, widać pomimo całego zuchwalstwa piszących, niepewne błąkanie się, dowodzące dosyć jasno, że dla filozoficznych poglądów, niewystarczającemi są prawdy, osiągnięte w naukach przyrodzonych na drodze doświadczenia i obserwacji. Z dziwną wszakże i trudną do pojęcia skwapliwością chwytane są dzisiaj wszystkie niemal nauki i oprawiane w piękne filozoficzne ramy; teorja Darwina jako nowość, z większem jeszcze upragnieniem przez zanadto życzliwych jéj przyjaciół witaną i wprowadzaną zostaje w obce i zupełnie nieznane jéj sfery i tak: Dr Jaeger łączy ją z pojęciami religji i moralności, Häckel, w dziele p. t. Twórczość natury, kategorycznie z dołączeniem rysunków na sześciu tablicach, wyprowadza pochodzenie człowieka od małpy. Bleck na podstawie Darwinizmu pisze o początku mowy, Bastjan stosuje ją do dziejów i t d.

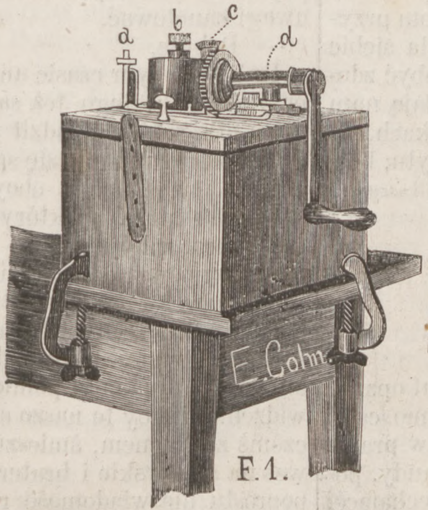


**Karol Darvin** (Strona 255).

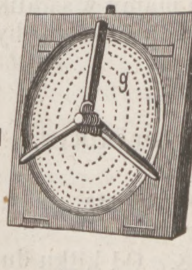
Wprowadzanie tego rodzaju nowatorstwa, wywo-

łało słuszną niechęć uczonych, którzy nie raz piorunującym głosem, za ten chwilowy zamęt, najniesłuszniéj pragną potępić angielskiego naturalistę.

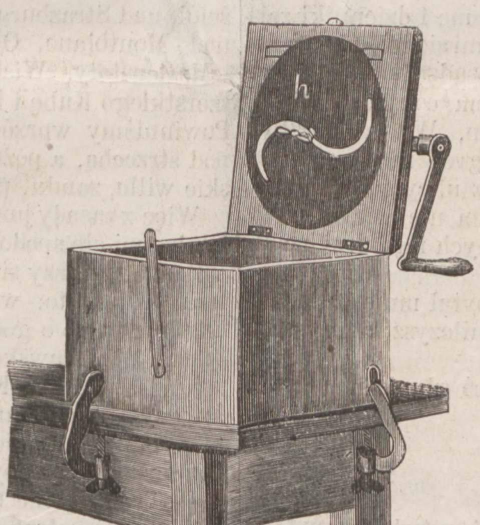
Przyznać potrzeba, że teorja Darwina w wielu razach nie jest wystarczająca, prawo powolnego przekształcenia, nie daje się wszędzie bezwarunkowo stosować i wyradza często taki zamęt pojęć, że łatwiéj nam przychodzi wyznać zupełną niewiadomość działania praw natury, niż postępować drogą rozumowania przez nią wskazaną. Nie mogąc się zbytecznie rozszerzać w tym przedmiocie, poprzestajemy na przywiedzeniu tu jednego tylko przykładu. Oko jest bez wątpienia jednym z najpiękniejszych i największy podziw wzbudzających organów w całéj budowie człowieka, pojąć sposób utworzenia go, jest zupełnem niepodobieństwem; Darwin sam zdumiewa się nad niém, waha się, lecz wreszcie w swojéj teorji znajduje sposób tłómaczący tworzenie się jego. Streszczając o ile możności całą tę hypotezę dowiadujemy się: że początkiem jego ma być nerw czuły na działanie światła, umieszczony po za gęstą tkanką przezroczystą, zamykającą przestrzeń napełnioną płynami, zmieniającémi ciągle a powolnie swoją gęstość, oddzielającémi się w warstwy w pewnych od siebie odstępach, których powierzchnie powolnie kształt swój zmieniają; tym sposobem po wielu przekształceniach ma powstać budowa oka ludzkiego. Zbyt wiele jest tu kombinacji i przypuszczeń, trudnych do zastósowania w tłómaczeniu przejścia od organów wzrokowych najmniéj wykształconych, do coraz doskonalszych, jakie się przedstawiają w naturze. Podług Müllera, który przedmiot ten gruntownie zbadać usiłował, trzy są główne rodzaje oczów: w pierwszym najmniéj doskonałym, mieszczą się oczy powstałe z pewnego rodzaju nabrzmiałości nerwowéj, bez żadnego przyboru optycznego, służące podług wszelkiego prawdopodobieństwa, jedynie do odróżnienia dnia od nocy; następują po nich dwa inne układy wzrokowe, różniące się pomiędzy sobą, mające jednak to wspólnego, że obadwa służą do rozróżniania przedmiotów; pierwszy z nich obejmuje oczy, których budowa powstaje z połączenia pewnéj liczby ostrokręgów przezroczystych ze ścianami ciemnemi, mających osi prostopadłe do siatki nerwowéj; drugi zawiera oczy, zaopatrzone w soczewkę wypukłą.




F. 1.




F. 2.




F. 3.

Nowa uniwersalna Szatkownica i tartka, (Strona 263).

Przytoczone tu trzy gatunki organów wzrokowych, przedstawiają system, podług którego w przekształceniach swoich powinnaby postępować natura, przechodząc gradacje od najniższych do coraz wyższych stopni rozwoju i wykształcenia; przejść tych wszakże żadną miarą wytłómaczyć nam nie jest zdolna cytowana powyżéj hypoteza, różnice bowiem są tu tak wielkie, przejścia tak trudne, że potrzebaby tworzyć długie szeregi przypuszczeń dla ich wytłómaczenia, któremi w końcu strudzony umysł widziałby się być zmuszonym przyznać podstawę swego rozumowania, za zupełnie słabą i niedostateczną. Podobny zarzut daje się uczynić w tłomaczeniu instynktu zwierząt; przedmiotu tego wszakże rozbierać tu nie będziemy, nie chcąc zbytecznie powiększać rozmiarów obecnego artykułu.

Cokolwiekbądź wszakże wyrzeknie krytyka przeciwko teorji Darwina, zawsze prace jego nie przestaną zajmować słusznie przynależnego im wysokiego w naukach stanowiska. Zapytajmy teraz: jaką drogą powinniśmy się starać osiągnąć z nich dla siebie korzyści? Czy mamy się przyłączyć do zbyt daleko sięgających jego wielbicieli i idąc za ich przykładem, błąkać się w niedostępnych sferach rozumowań i hypotez? Czy też stanąwszy po przeciwnéj stronie, starać się ogołocić ze wszystkich powabów te znakomite dzieła, będące owocem pracy, poświęcenia i mozolnéj nauki, zajmującéj prawie cały przeciąg życia ich twórcy? Nie, bez wątpienia, dla nas najwłaściwiéj spoglądać z obojętnością na ścieranie się z sobą pojęć i opinij przeciwnych, dotąd, dokąd te bezwarunkowéj wyświetlić nie zdołają prawdy; tymczasem powinniśmy się starać przyswajać sobie to wszystko, co w życiu praktycznem zastósowanie znaleźć może, co krótszą i pewniejszą drogą do zamierzonego w pracach naszych prowadzi celu, w czem dzieła Darwina w wielu razach przewodniczyć mogą.

W naszem przekonaniu, postępowania natury nie wywołuje bezwiedność, traf i przypadek; lecz przeciwnie w całym harmonijnym rozwoju jéj działania, widzimy z niepojętą mądrością nakreślony plan, podług którego Najwyższa wola do nieznanych i podobno na zawsze dla naszego wzroku i pojęcia ukrytych prowadzi ją celów. Wykrywane przez naukę prawa przyrody, są dla umysłów badawczych, dowo-

dem istnienia tych dróg pewnych, w odwiecznych nakreślonych zarysach, po których nietylko człowiek, lecz i wszystkie istoty, w stopniowych przejawach do coraz wyższego dążą wykształcenia, „ale Natura „jak mówi Flammarion“ nie chciała zezwolić, aby człowiek mógł wytłómaczyć i wyjaśnić arcydzieło jéj stworzenia. Król istot rzucił tajemniczą zasłonę, na ten szczytny dowód swéj wszechmocności i sam sobie zachował prawo podniesienia jéj; by zawstydzić pychę ludzi wówczas, gdyby zwiększył sferę ich intelligencji.“

W nauce Darwina te same przez się tak wiele mówiące wyrazy: Walka o byt, powinny w nas utwierdzić to przekonanie, że ulegając prawom przyrody, nie mamy zasady do wymagania dla siebie nic więcéj nad to, co z ogólnéj własności zdobyć zdołamy. Warunki towarzyskiego życia, podają nam chętnie broń, którą walczyć mamy w szrankach, zakreślonych prawami religji i społecznego bytu; bronią tą jest praca. *K. Milkuszyc.*

---

## WYCIECZKA W PŁOCKIE.

przez
**Franciszka Gumowskiego.**

---

Było to w Marcu, r. 1868. Od kilku dni opanował mnie jakiś smutek, zaduma, a pomimo całéj pełni młodości i życia, pomimo obowiązków pracy, najskuteczniejszego podobno lekarstwa na nudy, pomimo wesołych towarzyszów i uroczo uśmiechającéj się już wiosny, Warszawa przestała mnie bawić, koledzy rozśmieszać, książki, pisma i dzienniki zajmować, jedném słowem zrobiło mi się tak głupio na sercu, że niejeden z pewnością posądzał mnie o czarną melancholję. Nie wiedziałem co ze sobą robić. Teatr wydawał mi się ckliwym, Wystawa Sztuk Pięknych do niczego, Saski ogród ni to ni owo, więc chodziłem z kąta w kąt, z ulicy na ulicę jak wieczny tułacz, aż nareszcie sam nie wiedząc jak i kiedy znalazłem się u znajomych mi i przyjacielskich państwa Adamostwa.

— Co się z panem dzieje? zapytał mnie p. Adam. Wyglądasz pan jak nie swój, milczysz, dumasz, co się to znaczy?

— Nie wiem, ale tak mi jakoś głupio na sercu...

— Może zmartwienie?

— Nie.

— Może się pan zakochałeś?

— Nie.

— Więc cóż u kroćset, bo to i wstyd żeby w tym wieku wyglądać jak z krzyża zdjęty. Ale, ale, zaraz się pan z tego wyleczysz. No, uszy do góry. Jedziesz pan ze mną?

— Gdzie?...

— Na wieś, do Pepłowa. Zobaczysz pan nieznane sobie zapewne okolice, a chociaż cała ta peregrynacja zajmie nam najwięcéj dwa tygodnie, poznasz pan kilka miejscowości, kilka wiosek, miast i miasteczek, a co najważniejsza, odżyjesz i rozerwiesz się. Zdaje mi się żeś pan nigdy jeszcze nie był w Płockiém? Tym lepiéj, gdyż będzie to dla pana nowością. Pepłowo, jak panu wiadomo, jest moją własnością, oddaną w dzierżawę bratu Andrzejowi; uprzedzam zatém, że będziemy tam jak u siebie w domu. Czeka nas gościnność, serdeczność i otwartość, trzy cnoty kwitnące jeszcze w tamtych stronach, niby kwiaty nieśmiertelników. Cóż, jedziemy?

— Jedziemy.

— Zgoda. Tak to lubię. Po drodze zajrzymy do Łęczycy i Łodzi...

— Ależ to będzie: wstąpił do piekła...

— Nic nie szkodzi. Muszę tam być dla załatwienia interesów, a zresztą—rozmaitość bawi. Wybieraj się więc pan jak najspiészniéj i jak najskromniéj, bo wyruszamy jutro przed południem.

— Bardzo dobrze.

— A nie zapomnij pan wziąść ze sobą kawałek papieru i ołówka, bo może wypadnie co godnego uwagi zanotować.

— Dobrze.

Podróż w tym czasie ani mi nawet do głowy nie przyszła; dla tego też sam jéj projekt już mnie nieco otrzeźwił i zbudził z dotychczasowego przykrego letargu, każąc się spodziewać jakichś nowych wrażeń, swojskich a obcych mi jeszcze widoków, które tak lubię, do których tak tęsknię niby ptak do słońca, niby ryba do wody. W żaden sposób nie mogę wytłómaczyć i uniewinnić tych, którzy nie znając swojego zakątka, wojażują po Francji, Anglji, Włoszech i Niemczech, podziwiają Alpy i Pireneje, unoszą się nad katedrą Wenecką i Kolońską, jakby już tu pomiędzy nami nie było nic do widzenia, jakby te nasze strony i ci nasi ludzie byli czémś zakazanem, śmiesznem, niezasługującem nawet na synowskie i braterskie odwiedziny. Jest to poprostu nieświadomość rzeczy, uprzedzenie i fanfaronada. Co do mnie, stokroć wolę Marjacki kościół, nad Strazburgskie i Pizańskie wieże, Łomnicę nad Montblanc, Ojców nad wszelkie Josephstaty i Marienstaty, Wisłę nad Ren i Nekarę, naszego szorstkiego Kubę i Macieja nad Szulców i Millerów. Powinniśmy wprzód poznać to, co mamy u siebie pod strzechą, a późniéj dopiero oglądać cudzoziemskie wille, zamki, pałace i rozumy.

Więc z zasady już saméj, zadecydowana wycieczka bardzo mi się spodobała.

Zaopatrzywszy się tedy w konieczne na drogę potrzeby, jako to: w paszport, pieniądze i bieliznę, nazajutrz rano o godzinie 11-éj wyruszyliśmy koleją żelazną Warszawsko-Wiedeńską, ja, p. Adam, brat jego a kolega mój Franciszek, i służący Piotr, obładowany sak-wojażami i fuzją.

— Panie Adamie, zapytałem, jedziemy zbrojno i buńczucznie, jakby na lwy i tygrysy?

— Tygrysy nie tygrysy, ale zobaczymy czy też tak dzielnie potraficie strzelać szrutem jak oczami...

— Zobaczymy, zobaczymy.

Dzień był prześliczny, wcale nie marcowy. Słońce błyszczało na pogodnem, lazurowem niebie, młodziuchna trawa wyścibiała zielone listki z łona zamrożonéj niedawno jeszcze ziemi, wróble i skowronki śpiewały sobie na całe gardło, jakby się pocieszały po zniknionych śniegach; czuć było w powietrzu miłą, balsamiczną woń wiosenną, niby rozchodzące się perfumy na rozkoszne upojenie ducha i ciała. To też otworzywszy okno wagonu przypatrywałem się zbudzonéj naturze, migającym, w szalonym pędzie lokomotywy krajobrazom i co chwila uśmiechając się z zadowolenia, oddychałem pełną, swobodną piersią, a pod wpływem świeżego i czystego powietrza, robiło mi się na sercu tak jakoś dobrze, tak miodno i wesoło, jakbym miał

w sobie fontannę tryskającą kryształowemi wodami, z zapachem róż i fijołków.

— Czego się uśmiechasz? odezwał się do mnie kolega.

— Czego?... Spytaj się tych drzew, tych ptaków, tego słońca i nieba.

— Poetyzujesz koleżko!

— Mój kochany, życie bez poezji nie byłoby warte i złamanego szeląga. Zwłaszcza dzisiaj. Tyle mamy dotykalnéj prozy, tyle co krok spotykamy przeszkód, kamieni, głazów, cierni i głogów, tyle nam zresztą dziś piszą i prawią o materjalizmie, chemji, maszynach parowych, o pochodzeniu od małp, psów i kotów, że gdyby nie to święte uczucie, gdyby nie ten ogień Boży, z iskrą duchowego zapału i fantazji, ukryty gdzieś w bezdniach człowieka, a wydobywany niekiedy falami westchnień za czemś idealnem, nieśmiertelnem, nieskończonem, to przyznam ci się, nie miałbym żadnego pociągu do tego życia.

— Dobrze, dobrze, zauważył p. Adam. Znać że młodość mówi. A co, czy jeszcze robi się panu głupio na sercu?

— O, już nie. Jakby ręką odjął.

— Wybornie. Teraz powiedz mi pan, co było przyczyną téj głupoty, bo mnie się zdaje że nic innego tylko miłość.

— Gdzie tam. Alboż ja powinienem, alboż ja mogę kochać i być kochanym?

— A to co nowego! co słyszę!

— Rzecz bardzo prosta. Przecież oprócz zdrowia, serca, wiary i młodości nie mam nic. A znowu wolałbym kamienie tłuc nad drogą, niżeli bez wstydu i z wytartem czołem śpiewać do wybranéj kobiety:

Z pałaców sterczących dumnie,
Zejdź luba do mojéj chatki;
Ale zabierz swe manatki,
Bo goliznę znajdziesz u mnie.

Mężczyzna nie mający wyrobionego stanowiska w świecie i utrzymania wystarczającego przynajmniéj na dwoje ludzi, nie powinien marzyć nawet o szczęściu, jakie daje miłość.

— Więc cóż ma zrobić z sercem, które pomimo wszelkich *ale*, praw się swoich domaga?

— Rozum powinien niem zakomenderować, *naprzód*.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że miłość, która w niem wre, kipi i huczy, ma wyciągnąć ramiona przed siebie i aby się nie zmarnowała naprożno, ma ukochać, z tym większym zapałem naukę, ludzi, ich łzy i cierpienia, ich nędze i boleści, cnotę, poczciwość, tę ziemię, te lasy, te góry i wody, a przedewszystkiem pracę, pracę która z czasem wyrobi mu niezależny byt i wprowadzi pod własny jego dach promiennego anioła, w postaci ukochanéj i wybranéj przez siebie istoty.

— Wszystko to bardzo piękne, ale ja powiadam że się pan musisz zakochać.

— Wtenczas, jak będę miał byt i stanowisko.

— Et, przecież pan nienaprożno pracujesz, więc ręczę że będzie jedno i drugie. Nim zaś będzie, trzeba się zakochać, a jak będzie—trzeba się ożenić. Toć to jasne jak słońce.

— A jak też nie będzie, to po co zawodzić i siebie drugich?

— Musi być i kwita! Pokażę panu, że się zakochasz po same uszy, niedługo, jeszcze w podróży, i zobaczymy, kto będzie miał racje. A piękna, zgrabna, fertyczna, z pełną głową, z pełnem sercem i szkatułą... Ślinka panu idzie—ha?..

— Co mnie to może obchodzić?

— No, no, zobaczymy!

Gawędząc tedy o różnych a różnych rzeczach i przeplatając rozmowę cygarami, śmiechem i śpiewami, aniśmy się spostrzegli, kiedyśmy przybyli do Skierniewic. Tu zjadłszy obiad, przesiedliśmy się na inny pociąg i ruszyliśmy do Łowicza. Po krótkim przestanku w Łowiczu, wysiedliśmy z wagonu dopiero w Kutnie, a raczéj przed Kutnem, na foksalu znajdującym się o wiorstę drogi od miasta.

— Jedziemy daléj, ale już rzemiennym dyszlem, zadecydował p. Adam. Piotrze, postaraj się o furmankę do Łęczycy.

Nie było się znów o co tak starać, bo kilku naraz furmanów, żydów i nie żydów, otoczyło nas dokoła, przekładając każdy dobroć swych pojazdów i podając coraz przystępniejsze warunki za odstawienie nas całych i zdrowych do naznaczonego miejsca. W godzinę, usadowieni jak można było, na czemś podobném do bryczki i wozu, zostaliśmy ciągnieni przez trzy tłuściutkie koniki, parskające i kichające niby na szczęście, niby na wiwat, traktem do Krośniewic, gdzie też niebawem po półtoragodzinnéj jeździe stanęliśmy na odpoczynek i popas.

*Krośniewice* jest to miasteczko prywatne, położone na płaszczyznie w bliskości lasów nad małą strugą, przy sześciu traktach, w gubernji Warszawskiéj, powiecie Kutnowskim, liczące ludności około 1,500 dusz. Władze miejscowe składają: magistrat i urząd pocztowy. Jest tu także szkółka elementarna i apteka. Targi odbywają się tygodniowo, a jarmarków 6 do roku. Miasteczko całe brukowane, posiada kilku rzemieślników w dość dobrym stanie, z przyczyny znajdujących się niedaleko fabryk tytoniu, tabaki i cukru. Kościół parafialny pod wewzaniem Wniebowzięcia N. M. Panny, drewniany, wystawiony w r. 1760 na miejscu dawniejszego, przez Ignacego Gomolińskiego, pochylony do upadku, zmusił interesowanych do zbierania składek na nowy murowany, obszerniejszy i wygodniejszy. Po godzinnym przeszło popasie, wyruszyliśmy ku Łęczycy.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

## ECHO ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

### III.

Jakież to cudne echa teraz się rozlegają w gajach, dąbrowach, lasach i puszczach — na łąkach i niwach, w górach i na wodach.

Także echa życia społecznego, bo przyroda jest właśnie jednem wielkiem społeczeństwem harmonijnie urządzonem. Tylko człowiek stara się psuć tę solidarność, przez swą ambicję poprawiania lub przez swą dziką żądzę niweczenia dzieł Stwórcy.

Ptaka leśnego, co tak cudnie śpiewa właściwe mu pienia, będące jego modlitwą zarazem jak i tkliwym sonetem, łapie, uczy nucić jakąś brukową aryjkę i tak zdemoralizowane stworzenie tryumfalnie zawiesza w klatce przy okopconym murze, wśród kurzu, wrzawy i zabójczych wyziewów ulicy.

Biedny śpiewak! utracił nie tylko wolność, ale i talent mu jego wydarto. Dla szkaradnéj zwrotki, zmuszono go do

zapomnienia cudnéj rodzinnéj piosenki, jaką tak wdzięcznie rozlegały się gaje i dąbrowy.

Biedny śpiewak! rzuca się po klatce lub zmęczony siada i na całe gardło świszcze odrażającą aryjkę swego dręczyciela. Przechodniom zdaje się że to ulicznik gwizdże, patrzą, a to ptak; Biedny!

* * *

Angielski pisarz Sterne twierdzi, że z powodu ujrzanego przezeń ptaka w klatce, którego jakby na urągowisko nauczono wymawiać wyrazy: wyjść z tąd nie mogę! wyjść z tąd nie mogę!" jakie rzucając się i bijąc piersiami o kraty swego więzienia, powtarzał z rozdzierającą duszą słuchacza intonacją; przyszedł mu na myśl los ludzi trzymanych w zamknięciu.

Opowiada Sterne o tem w tych słowach:

,,Wrażenie jakie na mnie wywarł ów ptak, ścigało mię aż do mego mieszkania. Usiadłszy przy stole i wsparłszy głowę na ręku, przywiodłem sobie na pamięć katusze jakich doznaje więzień.

Widziałem go, jak znurtowany nudą, tęsknotą i przemocą, siedzi w swéj ponuréj celi samotny: i zrozumiałem ową okropną boleść serca, która wynika z zawodzonego ciągle oczekiwania. Oszpeciła go nieustanna gorączka. Od tylu lat krew jego nie odświeżała się czystem powietrzem. Przez ten czas nie oglądał ani słońca, ani księżyca, ani przyjaciół, ani krewnych, ani głos ich nawet nie doszedł doń przez te zimne kraty. Jego dziatki...

Siedział w najodleglejszym kąciku podziemia na garstce słomy, służącej mu na przemian za łoże i krzesło. Trzymał w ręku kalendarz zrobiony przez siebie z patyków, na których zaznaczone karby świadczyły o ilości samotnych dni spędzonych w téj straszliwéj pieczarze. Na jednym z tych patyków, zardzewiałym gwoździem zaznaczył nową rysę, nowy dzień udręczenia dodał do poprzednich. Wzrok jego był wyblakły z rozpaczy. Gdy patyk kładł na miejsce, zgrzytnęły kajdany i wydarły mu z piersi głuche westchnienie.

,,Żelazo które go krępowało, zdawało się sięgać duszy jego."

Klatka choćby szczerozłota, dla ptaka jest pieczarą, więzieniem, torturą.

Człowiek choćby najnędzniejszy, najwięcéj domaga się sprawiedliwości.

Jest że to sprawiedliwość dręczyć niewinne stworzenie?

Nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło.

* * *

Ależ zaczęliśmy mówić o echach polnych, wodnych i leśnych, a trafiliśmy do klatki...

To się niejednokrotnie zdarza na świecie nie tylko ptakom. Ludzie wsłuchują się często w echa po to tylko, żeby klatki zapełniać. Zdaje się nieraz że ktoś napawa się pieniem słowika, a on przemyśliwa nad tem, żeby go złapać i do kozy wpakować. Rozrzewnia się, unosi się, buzi daje, a swoje myśli.

,,A unikaj czułych ludzi,
Bo zjedzą!.."

Powiada nieboszczyk Syrokomla, którego czuli ludzie dużo zdrowia jednakże i życia kosztowali.

Owoż tedy wracając do ech, to czy one powtarzają ciche brzęczenie komara, czy noktiurnę słowika, czy elegję kosa, czy chór żab z głębi wód wołających w niebogłosy swe ,,żałośnie namiętne" unisono; czy sielską aryjkę pastuszej fujarki, czy słowa poety układającego w myśli ,,Wiochnę"; echa te oznaczają jedno i tożsamo: głoszą wiarę, nadzieję, miłość, jednym wyrazem:

Wiosna! wiosna! wiosna!

Dawniéj gdy wierzono jeszcze w miłość, gdy spodziewano się wszystkiego dobrego po miłości, gdy kochano się jeszcze, młodzież na wiosnę, grywała w zielone.

Kochać kogoś, jest to bezustanku myślić o ukochanéj osóbce. Zielone, była to gra symboliczna: wyrażała ona właśnie owe ciągłe zajęcie się kochankiem duszy swojéj. Kto przegrywał, dawał fant za karę, że na chwilę dopuścił się zapomnienia o władcy swego serca lub *o damie swych myśli*, jak to rycerze dawniejsi szarmancko się wyrażali.

Dziewczyna zazwyczaj przegrywała umyślnie od dawna na ten cel własnoręcznie przygotowaną sakiewkę.

Młodzieniec nosił w niéj złoto. Bo wtedy gdy się kochano, miewano d u k a t y. Jakże był dumny z téj sakiewki! Zdawało się mu, że ludzie, co powymyślali tyle dziwnych orderów: *np.* podwiązki, ostrogi, łaźni, słonia, i t. p. daleko trafniéjby postąpili stanowiąc order sakiewki: na uczczenie wiosny, gry w zielone, i szczęśliwych kochanków na świecie!

Dziewczyna wygrywała zazwyczaj karmelki, bo wtedy panienki jeszcze jadały słodycze...

Dziś, żeby zachciano zagrać w zielone, coby mógł stawić na fant dla teraźniejszéj dziewicy, teraźniejszy młodzian?

Chyba pudełko papierosów? albo bilet do loży na Piękną Helenę.

A ona?—piórko do zębów?

## HUMORESKA.

Pomysł i rysunek

LEONA KUNICKIEGO.




**(Przed afiszem teatralnym w Warszawie).**

PAN MACIÉJ (prowincjonalista — do siebie): Hm... dziesięć cór na wydaniu... wcale nie zazdroszczę—ja mam jednę, a nikt jéj wziąść nie chce.

☛ **Patrz Dodatek.**

# Dodatek do Nru 21go Opiekuna Domowego 1870 r.

Ona? miałaby grać w zielone! on? miałby grać w zielone! dzisiaj grać w zielone?

Wolą pójść do Eldorado.

Dla saméj ciekawości... dla ciekawości? a!... to tylko pierwszy gradus do piekła.

Szczęśliwéj podróży!

* * *

Nastaną niezadługo upały, kurz i milflery uliczne dają się już we znaki, a tu biedny mieszkaniec miasta, jak ów ptak Sterna spragniony wyjrzéć za rogatki; musi poprzestać na powtarzaniu sobie słów owego ptaka: wyjść z tąd nie mogę! wyjść z tąd nie mogę! A tu żona i dzieci wołają: zawieź nas przecie aby raz do Wilanowa! do Natolina! do Jabłonny! a choćby na Bielany. A tu wynajęcie dryndy drogo kosztuje, ciężkie czasy, a omnibusy nie kursują za miasto.

Doprawdy że to jest klęska wołająca o pomstę do Kurjerów Warszawskich, że dotąd nie można się doczekać, żeby tak ludne i ruchliwe miasto jak Warszawa, miało jakiekolwiek ułatwienie wydostawania się taniego za rogatki w ładne okolice. Przecież jest tam co widzieć, przecież omnibusy nie straciłyby na kursach spacerowych, ongi powozy publiczne owe kursy odbywały!

Niepodobna poprzestawać na oglądaniu od pierwszego do ostatniego listka drzew ogrodu Saskiego, Krasińskich, i parku łazienkowskiego. Chcąc nie chcąc można czarnéj melancholji dostać, tak jak możem się struć pieczonomi gołąbkami, jeżeliby przyszło się komu codziennie z musu po jednym z nich przez miesiąc spożywać; jak tego dowiódł najwyraźniéj Dumas syn...

W imieniu więc niezamożnych rodzin, a nadewszystko matek i dzieci, co smutne pędzą niedziele lub święta w murach miasta, wtedy, gdy lew ich domu, żeruje gdzieś w ogródkach i na raki, szparagi i kurczęta, nie mało traci pieniędzy; w imieniu wiosny, zdrowia, dobrego humoru, a nadewszytko sprawiedliwości, interpelujem czcigodne Kurjery Warszawskie, o bezwłoczne, ogniste i siarczyste postawienie kwestji kursowania stałego w niedzielę i święta omnibusów w ładne i ciekawe okolice zamiejskie, na porządek dzienny. i

Wielmożne i czcigodne pobratymcze organy utilitarnośc miejscowéj, raczą dobrotliwie wziąść pod swą światłą rozwagę i opiekę kwestję i darować zuchwalstwo interpelacji...

* * *

Kurjery Waszawskie, pomimowolnie przywiodły nam na myśl braci Syamskich (¹), co są braćmi rodzonymi i nienawidzą się prawdziwie po bratersku.

Nie pojmujemy jednakże co w nich tak ciekawego? jaką satysfakcją dać może ich oglądanie? Czy tę, że się ogląda błąd natury?

Są tacy, co zazdroszczą im życia wolnego pracy i zabiegów, a obfitującego w dobry koniak, befsztyk, wino i cygara.

Smutny to widok ale nieciekawy.

Co za straszliwa solidarność! nienawidzieć się, a być przykutym na zawsze do nienawistnéj osoby, zależeć od jéj woli i kaprysu!

Jeden chce chodzić, a drugi siedzieć, jeden chce śpiewać, a drugi spać; jeden chce gawędzić, a drugi dumać; a tu trzeba być mu posłusznym, bo nieposłuszeństwem odwetuje.

A jednakże cała ich pomyślnośc od téj solidarności zależy. Rozłączeni, straciliby na swéj monstrualnéj wartości, przestaliby być ciekawością, nie chcianoby patrzeć na nich, a nadewszystko nie dawanoby pieniędzy im za oglądanie. Nie umiejąc pracować, z głodu by zginęli.

Jednakże jako uosobistnienie solidarności, będącéj w każdym razie większą lub mniejszą potęgą, stanowią nauczające zjawisko.

Ręka rękę umywa, noga nogę wspiera, mówi stare nasze przysłowie.

I tak być powinno. Gdzie tak nie jest, to ręka staje się bezsilną, noga chwiejną i człek niedołężny.

* * *

Ciekawsze daleko widowisko, wedle naszego zdania stanowi wół uczony mości Zeppo, który raczył zawitać do Warszawy.

Mieliśmy pchły uczone, małpy uczone, kozy uczone, konie uczone, teraz wołu uczonego mamy i jego towarzysza, kozła... miałożby nasze miasto stać się kiedyś jakąś zoologiczną akademją?

Za wiele honoru—Bóg zapłać!

Jednakże wół uczony, sztukmistrz nawet, gimnastyk a może woltyżer, oraz uczony kozieł, dają nie mało do myślenia.

Nasze przysłowia mówią: zdatny jak wół do karety! oznaczając tém niezgrabność i nieruchliwość wołową. Uparty jak kozieł! co znaczy ze z takiém stworzeniem nie ma żadnéj rady, wedle zdania: że na upór lekarstwa nie ma.

A przecież za pomocą edukacji, jeden stał się wyższym wołem, a drugi wyższym kozłem.

Na ukształceniu więc cała wyższość zależy, czy to ludzi czy zwierząt.

A ludziom niektórym się zdaje że dość modnie się ubrać, żeby już górować nad światem.

* * *

Modnie się ubrać? cóż to znaczy? oto okryć się gałgankami przykrojonémi wedle wzoru wymyślonego przez modniarkę paryzką. Nie idzie tu wcale o wygodę, gust, oszczędność, ale o to głównie żeby tak samo było jak w żurnalu Paryzkim.

Co za honor, co za szczęście, dać się powodować krawcom.

A jaki rozum! *np.* w żurnalu paryzkim lalki są wymalowane w kusych katankach, a tu u nas siarczyste mrozy. Rozum doradza wziąść futro, ale nie można! trzeba wziąść modną katankę.

A zaziębi się modnisia, choruje, umrze, cóż to znaczy? na jéj miejsce tysiące lepszych będzie. Byleby tylko krawcy i modniarki tyle nazdzierali, żeby mieli za co powozami własnemi jeździć. A tam czy kto choruje czy umiera za ich sprawą, to mniéjsza o to. A zrujnuje się, to tém lepiéj, ruina modnisi, jest bogactwem krawca. Próżniak bogaci pracownika. Przemysł kwitnie, fabryki się wznoszą, handel prosperuje. Prawda! prawda!

Trzeba tylko dodać, że ta ich pomyślność, okupuje się ruiną rodzin i społeczeństw. Żebyśmy byli wszyscy przemysłowcami tego rodzaju, byłaby równowaga. Ale wysilać się na to, żeby za pomocą upadku społeczeństw dźwigały się fabryki i rękodzielnie, to dziwna loika.

Każdy zbytek jest demoralizacją. Demoralizacja jest upadkiem. Upadek klęską.

Za pomocą klęski, krzewić pomyślność, to tak samo wygląda, jakby ktoś kogoś chciał ubielić atramentem.

* * *

Trzeba stósować się do wymagań świata, krzyczą na nas. I dla czegóż to mamy koniecznie się do nich stósować nawet wtedy, gdy widzimy że są zgubne dla nas?

Nie trzeba się wyróżniać! powtarzają nam bez ustanku. I dla czegóż to mamy się nie wyróżniać i wlazłszy między wro-

(¹) Wiadomość o nich szczegółową wraz z ryciną podał zeszłoroczny *Opiekun Domowy* w Nr. 30-ym. (*Przypisek Redakcji*).

ny, krakać jak i ony? A jeżeli nam rozum i sumienie odradzają krakać?

Zapewne że nie można tak się wyróżniać ubiorem żeby to aż w oczy biło. Moda, jako złe nieuniknione, jest obowiązującą do pewnego stopnia.

Dopóki nie naraża się zdrowia, nie wykracza się przeciwko przyzwoitości, dobremu gustowi, obowiązkom i powinnościom—dopóki nie jest zbytkiem zuchwałym i obrazą obyczajów, moda może być cierpianą.

Wszakże i w oględném stósowaniu się do mody, nie tylko trzeba baczyć na jakość sukien, ale i ilość. Pieniądze wydane na mnóstwo bodajby skromnych i gustownych ubiorów, są tak samo bezpowrotnie zmarnowane, jak i na przepych materjału i przesadę fasonu.

Nie ma nic smutniejszego jak kobieta zapełniająca swe szafy mnóstwem sukien, których prawie nie nosi, a które szybko wychodzą z mody i bywają sprzedawane przez nią za bezcen tandeciarkom.

Jest to istny szał, choroba, zapamiętałość rujnująca rodziny.

Tam gdzie są dziatki potrzebujące edukacji, gdzie przyszłość nie jest zapewniona, gdzie jutro może nas zastać na bruku, choroba podobna jest zbrodnią.

Jednakże przyjrzawszy się lepiéj kobietom przechadzającym się w Ogrodzie Saskim, gdzie zwykle tualeta ich doprowadzona bywa do wykwintności modą dla sukien spacerowych wskazanéj, przekonamy się, że większa część kobiet tam spotykanych ubiera się skromnie, a jeżeli na pierwszy rzut oka wydają się one wystrojonemi, to po bliższém przypatrzeniu ich przekonamy się, że schludność wyszukana, dobry gust i wdzięk niepospolity w noszeniu sukien, rzeczywisty blask ich stanowią.

Spotyka się też wiele porządnych kobiet w tych samych sukniach przez całe tygodnie. Oczewiście panie te, przychodzą do ogrodu na przechadzkę, lecz nie na wystawę krawieczczyzny.

Zresztą dzięki Bogu, okrzyczana owa teraźniejsza *furja niedyskrecji wdzięków*, w innych krajach epidemicznie panująca u nas zaledwie kiełkuje. U nas jeszcze nie noszą takich sukien na spacerach, żeby te suknie odsłaniały nazbyt właśnie to, co zakrywać powinny.

To dowodzi nie tylko dobrego gustu, ale i obyczajów.

Że zamiłowanie do sprawiania nad potrzebę sukien nie jest zbyt powszechne u nas, że są kobiety, które mogąc nawet dogodzić téj zwyczajnéj niewieściemu rodowi w większéj lub mniejszéj mierze pasyjce—dowodzi tego fakt następujący:

Pani S. wybierającéj się do Warszawy (z Płockiego), mężysko na wyjezdném wsunął w rączkę paczkę banknotów mówiąc: a nie zapomnij tam sobie kupić za to, co ci daję tu, modnych gałganków!

Bardzo dobrze. Na *rozumną Żonę*, w rozumieniu tego wyrazu *Żon rozumnych*, wypadałoby natychmiast przeliczyć pieniądze i z grymasikiem oddać je mężowi, twierdząc, że za te *parę groszy*, chyba dla lalki swéj córki sprawunki załatwićby mogła. Mężysko dodałby drugie tyle, i jeszcze raz tyle i byłoby za co w Warszawie nakupować arcy potrzebnych, nadzwyczaj pożądanych, niesłychanie niezbędnych rzeczy: bo nie tylko rozlicznéj krawieczczyzny, ale i pachnideł, i wachlarzy, i świecideł, i błyskotek, a nawet tych szacownych ingredyencji, które rubaszni mężczyźni nazywają trywialnie różem i bielidłem—wreszcie papierosów, lornetek i albumów.

A jednakże pani S. nietylko tego wszystkiego nie uczyniła, nietylko naiwnie poprzestała na ofiarowanéj sobie przez męża sumce, ale sprofanowała się kupieniem za nią...

Zgadnijcie piękne panie—czego?

Oto „Encyklopedji Powszechnéj,“ w całym jéj komplecie, oprawnéj, za zniżoną cenę, od kogoś potrzebującego!

O zgrozo! o zgorszenie! o zbrodnio.

A toć mężowie mogą z tego faktu wziąść pochop do wniosku, że skoro są kobiety takie, które pieniądze dane sobie na tualetę, obracają na zakupienie książek, to i inne kobiety mogą się obejść bez zbytkowych i zbytnich strojów i książki kupować?

Słyszane to rzeczy?!

Przecież żadna z kobiet nie może wystąpić na bal, ani na raut, ani na teatr, ani na koncert, ani na spacer, ani na wizytę, w Encyklopedji Powszechnéj.

Horror! horror! horror!

* * *

Ludzie, którzy sympatję i przyjaźń, pojmują tylko z nazwy, nie rozumiejąc tego, jak można sympatyzować i przyjaźnić się z osobą innego koloru szkiełkiem niż nasze patrzącą na słońce, i innémi dźwiękami głosu niż nasze do słońca przemawiającą, nie wiedzą o tém że jest braterstwo dusz, daleko świętsze niż braterstwo krwi.

Bo też i tego nie wiedzą, że wzajemny pociąg i życzliwość, na zobopólnym szacunku, ale nie na podobieństwie lub tożsamości pewnych form, zależą.

Jeden poczciwy izraelita, przed niedawnemi czasy, żył w ściśléj przyjaźni z jednym zacnym chrześcijaninem. No, nic w tém tak dalece nie ma dziwnego, ale to było dość oryginalném w tych stosunkach, że izraelita był dłużny pewną sumkę swemu przyjacielowi.

W tém niespodzianie poprawiają się interesa pierwszego, a więc pospiesza uiścić się z długu i proponuje swemu druhowi pożyczkę, którą ten z wdzięcznością przyjmuje, a to w kwocie rs. 100, bez rewersu i procentu. Nazajutrz tknięty apopleksją wierzyciel umiera, a dłużnik dowiedziawszy się o tém, pośpiesza do jego żony, która o pożyczce owéj nic nie wiedziała, z oznajmieniem długu i wkrótce uiszcza się jej z niego co do grosza. Przyjaciele zmarłego licznie przychodzili do tego jegomości następnie, pragnąc jak mówili przypatrzyć się: *jak też poczciwy człowiek wygląda?*

Nie wesołe czasy, w których tacy ludzie są osobliwością — a taka przyjaźń wyjątkiem.

Ale zawsze lepszy jest rydz, niż nic!

*Aleksander Osipowicz.*

# POGADANKI
## z dziedziny Sztuk Pięknych.

### IV.

Przez czas istnienia Wystawy Sztuk Pięknych, po raz drugi spotykamy się z obrazem treści religijnéj w stylu malarzów przed-rafaelowskich.

Pierwszym był *Nowotnego* „Ś-ty Joachim i Ś-ta Anna“ drugim jest obecnie wystawiony przez W. K. Statlera „Święta Rodzina,“ do którego za temat posłużył fragment z poematu Bogdana Zalewskiego.

W obrazie P. Statlera widzimy gruntowne studja i wykończenie z zamiłowaniem we wszelkich szczegółach. Całość jednak pomimo widocznego zamiaru artysty, zamiast urokiem legendowéj fantazji, przedstawia nam raczej wymuszoną naiwność i czułostkowość, które w stosunku do zapatrywania się mistrzów na przedmioty religijne, nazwać by można bigoterją malarską.

Takie traktowanie przedmiotów religijnych uchodziło niegdyś kiedy to w traktatach o malarstwie radzono artyście, ażeby malując N. Pannę nie żałował najpiękniejszych barw, złota, drogich kamieni i. t. p.

Dziś po tylu nieśmiertelnych arcydziełach nie potrzebujemy już błąkać się po manowcach niemowlęcéj sztuki; bo wielcy mistrzowie posunęli granice ideału po za kres pierwiastkowéj dziecinnéj naiwności: więc też jeśli szukamy dróg

nowych, to ,,w duchu i prawdzie" nie zaś w sztucznym zapale i zastarzałych formach.

---

Powyższe uwagi w pewnéj części dadzą się zastósować również do utworów J. Strzałeckiego, którego obraz ,,Sztuki Piękne" oglądaliśmy na wystawie. Artysta ten nazbyt przejmuje się manierą mistrzów włoskich i to tak dalece, że utwory jego oryginalne zdają się być kopjami.

Uważając ten zwrot za manierę przejściową, mamy to przekonanie, że P. Strzałecki przy wrodzoném wysokiém poczuciu harmonji ogólnéj, przy łatwości w roztaczaniu całego bogactwa zewnętrznéj ułudy, mając tyle siły i ognia, nie zaniecha też studjów nad wyrobieniem własnego stylu i zapragnie być oryginalnym.

---

Obraz P. Godeckiego „Jałmużnę Sieroty" ujrzeliśmy z prawdziwą przyjemnością; wyróżnia się bowiem stanowczo z pomiędzy dotychczasowych prac tego artysty: pojęciem przedmiotu, precyzją, prawdą i wyrazem. W obrazie tym P. Godecki dosięgnął téj pełności formy, na jakiéj mu dotąd zbywało. Skutek to pilniejszego badania natury i patrzenia na nią własnemi oczyma.

---

Kostrzewski celuje zawsze w wyborze przedmiotu i charakterystyce, szkoda tylko, że często wpada w karykaturę i nie dość starannie opracowuje swoje obrazki.

Z dwóch świeżo wystawionych: pierwszy ,,Nowa znajomość" przedstawia eleganta, kuso, opięto, cudacznie ubranego, który modnym szykiem ma zamiar zapewne podbić serduszko jednéj z wychodzących z kościoła panienek, córki niewątpliwie tego typowego szlachcica, któremu jest przedstawianym. W oddaleniu widać amerykańskie pudło i dżokeja, dwie rzeczy dla gentelmana niezbędne.

W drugim obrazku widzimy pokątnego doradcę, który na prędce przy karczemnym stole, zagrzany nieskąpemi libacjami łatwowiernego klienta, improwizuje motywa jakiegoś procesiku.

Oba te obrazki pod względem pomysłu, należą do lepszych Kostrzewskiego utworów.

---

Gryglewski namolował ,,Boczną nawę w katedrze Krakowskiéj" Rzecz to ładnie malowana, ale widzieliśmy lepsze Gryglewskiego. Wadą tego obrazu jest posąg Potockiego, który sam przez się i jako szczegół pierwszo-planowy jest rzeczą ważną w tym obrazie i wymagał silniejszego pod każdym względem, a nadewszystko pod względem poprawności rysunku, traktowania.

---

Horowitza ,,Portret damy" w czarnéj atłasowéj sukni, malowany jest z wielkim smakiem, chociaż nieco zbyt pośpiesznie. Traci na tém całość obrazu nie dość zharmonizowana, a bardziej jeszcze poprawność rysunku, naprzykład: bufy rękawa zamaskowały zupełnie część ręki od dłoni do łokcia, tak, że pomimo najlepszej chęci odszukać jéj nie można. Tegoż artysty jest także mały rodzajowy obrazek ,,Lichwiarka" zręcznie malowany.

---

Hejmana ,,Młoda gosposia" bardzo ładnym jest obrazkiem, jak w całości tak i we wszelkich szczegółach zręcznie malowanym. Przedstawia on młodą kobietę przy stole założonym różnemi przyborami i materjałami kuchennemi, udzielającą z porąbanego cukru, porcję ulubionemu kanarkowi.

Dziwi nas tylko, że autor tego obrazka tak przejął się metodą Horowitza, że gdyby nie podpis, trudnoby poznać czyj to utwór. Honni soit qui mal y pense.....

---

Zdzisława Suchodolskiego ,,Positana" przedstawia taras wiejskiego domu w południowych Włoszech, ocieniony winem i oświetlony ukośnemi promieniami zachodzącego słońca. Szkic to bardzo ładny.

Z pejzażów notujemy: Brochockiego ,,Krajobraz z okolic Monachium" Grabińskiego: ,,Wimbachthal w Bawarji" i Ruśkiewicza: ,,krajobraz zimowy."

Na zakończenie wspomnieć nam wypada o Chełmońskim, którego obraz zatytułowany: ,,Grabienie siana" dobrze wróży o przyszłości tego poczynającego malarza, przypominamy mu to tylko, że spełnienie tych wróżb od jego starania zawisło.

F. T.

---

## PRZYRZĄDY w GOSPODARSTWIE DOMOWEM.

### Nowa uniwersalna szatkownica i tartka.

Ta wielce pożyteczna maszynka w gospodarstwie domowém, służy nietylko do szatkowania albo do krajania kapusty, rzepy, buraków, ogórków, kalarepy i innych jarzyn z nadzwyczajną szybkością, w jednostajne, gładkie talarki, lecz także przy bardzo małéj zmianie mechanizmu, można na niéj trzeć surowe lub gotowane kartofle, cukier, chrzan i. t. p. Sposób obchodzenia z tą maszynką jest następujący:

Maszynkę przymocowywa się do stołu za pomocą śrób, jak rycina, umieszczona na stronnicy 257-éj wskazuje; następnie otwiera się pokrywę i stósownie do tego, czy chcemy szatkować lub trzeć, przymocowywa się tarczę *h* z nożami (Fig. 3) lub tarczę *g* (Fig. 2) do tylnéj pokrywy za pomocą śróby skrzydlatéj. Odpowiednia skrzynka blaszana, dokładnie do skrzynki drewnianéj przystająca, służy do zbierania uszatkowanego lub utartego materjału, bez zanieczyszczania samééjże skrzynki. Gdy już pudełko blaszane wewnątrz drewnianego dokładnie jest ustawione, zamykamy pokrywę—a za pomocą śróby *a* klapę *b* tak ustawiamy, żeby pieniek drewniany do niej przymocowany, blisko do tarczy przylegał, a przecież jéj nie dotykał; przez proste zaś wyciągnięcie śróby z widełek klapy, można tarczę opuścić a samą klapę przełożyć, gdy chcemy użyć półokrągłego otworu w pokryciu skrzynki, do wrzucania kapusty, rzepy i t. p.

Maszynkę tę porusza się korbą w kierunku, jak strzałka na Figurze I-éj pokazuje. Do smarowania używa się dobréj stołowéj oliwy, którą się kropelkami wpuszcza do otworów *c* i *d*; aby zaś oliwy nalać do otworu *c*, uchylić należy pokrywę skrzynki.

Na rysunku widzimy dwie tarcze, jedna z wielkiemi trójkątnémi otworami do tarcia chleba, bułek i chrzanu, a z małémi otworami do tarcia kartofli— druga zaś czarno polakierowana tarcza z nożami, służy znowu do szatkowania. Rozcierając surowe kartofle, należy do naczyń blaszanych, do odbierania służących, nalewać wody, aby kartofle nie czerwieniały.

Gdy chcemy zdjąć tarczę do tarcia służącą, dla zastąpienia jéj drugą, luzuje się najprzód małe śróbki, następnie podnosi się cokolwiek tarczę dopóki nie da się zdjąć z haków, drugą zaś tarczę mocuje się w taki zupełnie sposób, jak była utwierdzona poprzednia. Przy śróbowaniu tarczy do tarcia lub do szatkowania, na wewnętrznéj pokrywie maszyny, należy na to uważać, aby małe nacięcie na otworze będące, dokładnie przystawało do małego sztyftu, znajdującego się na czopie pokrywy. Czyszczenie tarcz uskutecznia się szczotką i wodą.

Maszynkę tę uniwersalną do szatkowania i tarcia służącą, nabyć można u E. Cohn'a w Berlinie, (Hausvoigteiplatz № 12) za talarów 8 i 15 sr. gr.

*Jan Pietraszek.*

# Wiadomości Techniczne.

## HODOWLA RYB W MIEŚCIE.

Chodząc w Radomiu po dawnym ogrodzie spacerowym, położonym między dwoma strumykami, z których jeden ma 5 do 6 stóp głębokości i wodę dobrą dla ryb, nastręcza się pytanie: dla czego nie korzystał dotąd nikt z tych darów natury, dla uwolnienia miasta w sposób pożyteczny z odpadków sąsiedniego szlachtuza? Ten sam przypadek jest w bardzo wielu miastach i miasteczkach. Każde z nich ma szlachtuz, potrzebuje ryb i prawie każde ma wodę, zdatną do zasilenia stawu. Czegóż tedy brakuje do pozbycia się trujących swą wonią odpadków szlachtuza i do przemiany ich w karmę ryb? Do téj przemiany szkaradzieństwa w ozdobę i pożytek, wystarcza wybranie stawu pod miastem w miejscu do tego sposobnem i ustawienie nad nim szlachtuza. Ryby mające dostatek świeżéj wody nie ponoszą żadnéj szkody z karmy zanieczyszczonéj wnętrzem trzewiów. Znam stawy bardzo rybne, w podobny, ale daleko gorszy sposób zasilane w karmę zdatną dla ryb, nie dostrzeżono jednak żadnéj ztąd szkody. Rzecz dziwna, za pomysłowych i przemyślnych uchodzą ludzie biegli w korzystaniu z cudzych słabości lub nieostróżności. Natura z któréj korzystanie nie wymaga żadnego podstępu, czyni zaszczyt i udaje się najprostszym usiłowaniem, zostaje zaniedbaną. Nie mówmy, że wiedza odprowadza od natury — nie, wiedza uczy cenić i powiększać użyteczność i piękność natury.

*J. B. Rogojski.*

# ROZMAITOŚCI.

**—Nowe dzieła. (G)** *Biórko*, obrazek obyczajowy z lat ostatnich, minionego wieku, przez Autora Pamiętników ks. Jordana. (Kazimierza Bujnickiego). W dwóch częściach Wilno w drukarni A. Syrkina 1862 r. (cena rs. 1—zniżona). Autor przenosi nas w okolice Grodna, Wilna i Oszmiany. Młody i bogaty Ludwik Dziarczyński, pan z panów, udaje się pomimo woli w dalekie kraje, zostawiając majątek ruchomy i nieruchomy na łaskę losów, pewny jednakże serca i wzajemności, zaręczonéj sobie kuzynki, panny starościanki Laury Marnowieckiej. Rodzice a szczególniej ojciec Laury, dumny, zepsuty i nadwerężony w fortunie życiem nad stan, starosta, chcąc się wybawić z kłopotów, a widząc że i Dziarczyński, zbiegiem nadzwyczajnych wypadków, postradał całe swoje mienie, przeciwnym się staje uprojektowanemu małżeństwu i brutalsko nawet odpisuje nieszczęśliwemu Ludwikowi, który dowiedziawszy się o wszystkiem, z całą godnością mu na to odpowiada i zwalnia nawet, jako biedny, Laurę od dotrzymania mu słowa. Ale Laura młoda, piękna, szlachetna i rozumna, inaczéj tę rzecz pojmuje i wbrew woli rodziców, postanawia być stałą danemu przyrzeczeniu, nie tak z miłości, jak raczéj z zacności charakteru.

Po kilku latach Dziarczyński wraca w swoje strony i nie wie nawet gdzie mu teraz przyjdzie położyć głowę. Na drodze spotyka go omdlałego i znużonego pan Rafał Miłaszewicz. Ratuje go, pokrzepia i jak prawdziwy brat chrześcianin, zabiera go ze sobą do niedawno trafem nabytéj majętności. Tu Ludwik przyszedł do zdrowia, odżył i jako oficyalista i przyjaciel począł u Miłaszewicza pracować, zakochawszy się naprawdę w jego niezrównanéj pod każdym względem córce Jadwidze. Pewnego razu Ludwik spostrzegł u pana Rafała biórko, a przyjrzawszy mu się baczniej, poznał w nim swą własność. Miłaszewicz zapytuje go, czy w skrytkach tego sprzętu nie zostawił czasem pieniędzy. Pokazało się że zostawił i to bardzo grube, które Miłaszewicz przypadkiem wynalazł, a dostawszy biórko po swym krewnym, wielkim skąpcu, w spuściznie, który dawniéj był plenipotentem Ludwika, sądził się był prawym jego i ukrytych tysięcy właścicielem, kupując sobie za nie dwie wioski. Ale teraz kiedy się rzecz wyjaśniła, wioski postanawia oddać Dziarczyńskiemu i ledwie przystał na to, że po długich mozolnych prośbach, jedną z nich zgodził się nareszcie dla siebie zatrzymać. Poczciwa dusza. Panna Jadwiga pokochała pełnego przymiotów serca i umysłu Ludwika, lecz dowiedziawszy się o dawném jego zaręczeniu z starościanką, nie chciała mu ze swéj strony żadnéj robić nadziei wprzód, nim Laura zwolni go dobrowolnie ze słowa. Ponieważ zaś ani Dziarczyński starościanki, ani starościanka Dziarczyńskiego, nie kochała nigdy miłością gwałtowną, namiętną, ale raczéj więcéj familijną i z przyzwyczajenia, łatwo więc podobne zezwolenie było od niéj uzyskać, co też w saméj rzeczy wszystkim wyszło na dobre. Ludwik i Jadwiga uszczęśliwieni, pobrali się. Laura wyszła za kasztelanica Blickiego, i tak jedno jak i drugie, nie mając do siebie najmniejszéj urazy, łatwiéj aniżeli im się to zdawało, spełniło cel swoich życzeń i uczuć. Starosta Marnowiecki, typ zepsutego panka, zrujnowany zupełnie umarł niedługo, łudząc się aż do śmierci swą wielkością. Rafał Miłaszewicz, Jadwiga, Laura, Ludwik, rejent Dybalewicz, Maciej Perełka nieodstępny sługa Dziarczyńskiego, i ospowata Agata, to wzory prawdziwéj szlachetności, bezinteresowności i przyjaźni. Bonawentura Łapcewicz, stary kutwa i sknera, pan Oczko, plenipotent starosty i Marta żona Miłaszewicza, to także ciekawe typy, choć każdy w innym rodzaju i guście. Celem téj powieści jest okazanie, że cnota, poczciwość, praca i osobista zasługa człowieka, są wynagrodzone, a buta, zarozumiałość, przewrotność i chciwość, prędzéj czy późniéj—karane. Mimo wad językowych, napisana jest zajmująco i czyta się chętnie.

**— Wycieczka do Pionin, (G)** przez Paulina Stachurskiego, Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1869 r. Tom I (cena kop. 75). Czy może być co przyjemniejszego, jak zwiedzanie w letniéj porze uroczych i majestatycznych okolic Karpat, Tatrów i Pionin? Otóż autor w niniejszéj książeczce podaje nam, jakby dla zachęty, opis jednéj z takich wycieczek, malując w nim osobiste swoje wrażenia. Dziełko to nie jest ani przewodnikiem, ani wystarczającym podręcznikiem dla ciekawych turystów, ale—ot, tak sobie, lekko naszkicowanym obrazkiem niektórych górskich miejscowości, jak Krościenka, Czorsztyna, Niedzicy, Czerwonego Klasztoru, Szczawnicy, Korony, Łomnicy i Studzienek. Przeszło połowę dziełka, bo 30 kart, zajmuje opowiadanie bajki o Cieniu, Leśnéj, Wodnicy i Gnomach, drukowanéj już poprzednio, z pewnemi zmianami w *Nowinach*.

**— Szczególny pojedynek.** Pewien bogaty kupiec w mieście Valparaiso został wyzwany na pojedynek przez jednego z oficerów. Wedle prawideł przyjętych w tego rodzaju tak zwanym *sprawach honorowych*, należało mu posłać sekundanta dla umówienia się o warunki spotkania, tymczasem wyzwany ów kupiec napisał do wyzywającego następujący list: ,,Wcale bym sobie nie życzył zabić pana, a tym mniéj, abyś pan mię zabił. Ale jeżeli już koniecznie postanowiłeś się strzelać, to posłuchaj co Ci poradzę: Oto udaj się pan do pobliskiego lasu i upatrz drzewo takiéj grubości, jak ja, odstąp odeń pięćdziesiąt, trzydzieści lub piętnaście kroków (stosownie do tego, jak się panu spodoba), a stanąwszy na obranéj mecie, śmiało strzelaj. Jeżeli pan trafisz, uznam się za winnego i przedłożę mu przeprosiny. W przeciwnym razie, pan to uczynisz.‟—Oficer się naśmiał i nie myśląc długo zaprosił kupca na obiad, na którym nastąpiło pogodzenie się a następnie nawet połączyli się z sobą jak najściślejszą przyjaźnią.

**Wydawca,** Mieczyński Adam.—Druk. J. Psurskiego.— Дозволено Цензурою.— **Redaktor:** Oskar Stanisławski.